ROK DRUGI.

№ 30.

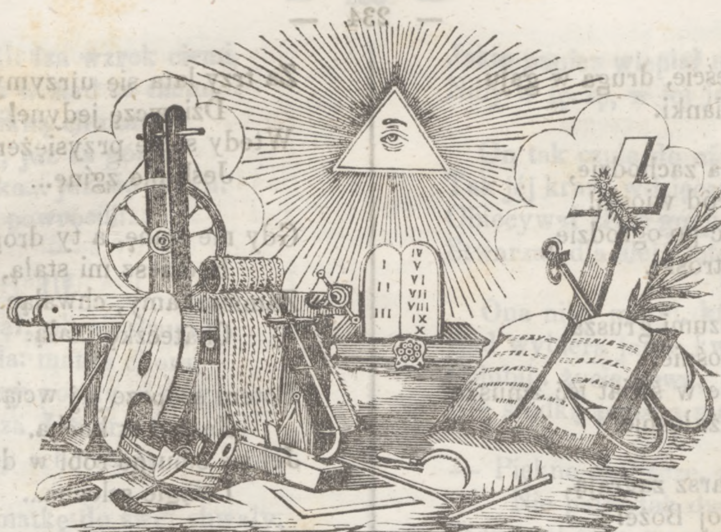
Warszawa

Dnia 14 (26) lipca

1857.

Niedziela

7 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Jeśli pokój twój gruntujesz na jakiej osobie, w pożyciu i uczuciu twojem znajdziesz się chwiejącym i uwikłanym; lecz jeśli się uciekasz do zawsze żyjącej i trwającéj prawdy, nie zasmuci ciebie ani odjazd, ani śmierć przyjaciela. (O naśl. Chr. K. 3. R. 42).

Stara piosenka.

Z tamtéj strony jezioreczka
Jedzie Jasiczek, Jasiczek!
Malowane siodełeczko,
Siwy koniczek, koniczek! (1)

Jak mu pięknie, patrz mateczko!
W modrym mundurku,
Oj! zastuka w okieneczko
W naszém podwórku.

Wąs jak suma, ogień w oku,
Błyszczą rabaty,
Świeci szabelka przy boku,
Mina-ż za katy!

Już zawraca od topoli
Drogi Jasiczek,
Kopie nóżką ze swywoli
Siwy koniczek...

Oj! zastuka, ja w komorze
Skryję się jemu,
Sama nie wiem, czyby może
Wyjść tam ku niemu?

I w podwórku go spotkała
Piękna dziewczyna,
Od kochania pokraśniała
Niby kalina.

Warkocz z wstęgą, do urody
Biała sukienka,
Stanik w kwiaty, a jagody
Niby wisienka.

Jaś zsiadł z konia i dłoń w dłoni
Szedł z nią do chatki,
A potem się nisko skłoni
Do nóg jéj matki.

— Gdzież są siostry, jak się mają?
Spytał kochanki.

(1) Ostatni wyraz w każdym drugim wierszu, potrzebny zresztą tylko w śpiewie, opuszcza się w następnych strofkach dla uniknienia powtarzania.

— Jedna w mieście, druga w gaju
Wije równianki.

Już słoneczko na zachodzie,
Piękniež śród wioski!
Pojdźmy chodzić po ogrodzie,
Zwierzę ci troski.

— Jak tu miłe szumi grusza,
Aż serce rośnie!
Czemuż los mnie w świat iść zmusza?
Rzekł Jaś żałośnie.

Jutro we wsi marsz zagrają,
Trza iść mój Boże!
Kto wie? może w obcym kraju
Głową nałożę.

Słyszysz Hanko, na stodole
Co puszczyk wróży?
To mnie smutną śpiewa dolę
W bliskiéj podróży...

Hance łezka błysła w oku,
On rzekł dziewczynie:
— Nie wierz, co ptak huczy w zmroku,
Jaś ci nie zginie.

— O! mój drogi, zostań z nami,
Rzuć dni tułacze,
Bo bez ciebie Hanka łzami
Oczy wypłacze...

Poco gonić wiatr po świecie
Z tą szablą w dłoni?
Zostań!... matka nam się przecie
Kochać nie wzbroni.

— O! nie moja ty jedyna,
Zbiegiem nie będę;
Z krajem źle się dziać poczyna,
Więc na koń wsiędę.

Oto naści sznur korali
Z obrączki temi,
Byśmy sobie byli stali,
Zmienim się niemi.

Dziś sąsiadów zaprosimy
Do waszéj chatki,
Zrękowiny odprawimy
Za zgodą matki.

Za trzy lata się ujrzymy,
Dziewczę jedyne!
Wtedy sobie przysiężemy,
Jeśli nie zginę...

Gdy nie zginę, a ty droga
Będziesz mi stałą,
Zamieszkamy, chwaląc Boga,
Chateczkę małą.

Potem szepcze jéj wciąż w uszy,
Że ją tak kocha,
Jéj się smutno robi w duszy,
I ciągle szlocha...

Lecz fartuszkiem otrze oczy,
Wznosi się łono:
— Jasiu! z moich przyjm warkoczy
Wstążkę czerwoną.

Noś ją blisko swego serca
W każdéj godzinie,
Abyś nie był przeniewierca
Biednéj dziewczynie.

I podali sobie dłonie,
By iść do matki;
On pokraśniał, ona płonie,
Weszli do chatki...

II.

Grają, grają, i bębnują,
Wojaczkowie maszerują;
Rżą koniki, błyszczą piki,
I wojenne brzmią okrzyki.

Zadrżał Janek... marsz! marsz! bracie,
Tam czekają boje na cię!
Smutek zchmurzył jasne czoło,
Żegna matkę, siostry wkoło...
Starsza krzyżyk mu podała,
Młodsza konia osiodłała,
A ta trzecia zapłakała,
On pożegnał ją najczulej,
I tak ciężkie płacze tuli:
— Choćbym zaszedł na kraj świata,
Nie płacz! wrócę za trzy lata;
Wrócę do was w lepszéj doli,
Jeśli tylko Bóg pozwoli.

I złączył się z szeregami,
I kurz pokrył go kłębami...

Hanka patrzy... łza wzrok ciemi,
Patrzy z płota w ślad za niemi...
Coraz daléj, nikną chmurą,
Coraz mniejsi, już za górą,
Jeszcze chwilka... już się skryli,
Oby wszyscy powrócili!...

—

III.

Już rok spłynął, płynie drugi,
W chatce bieda: matka chora,
Dwie już siostry poszły w sługi,
Tylko Hanka za doktora
Pozostała przy schorzałéj.

Bóg wziął matkę do swéj chwały,
Więc sierota sama jedna
Pozostała Hanka biedna...
Co tu począć?.. Żal się Boże!...
Ciężko w świecie żyć sierocie,
Kłopot idzie po kłopocie.

Lecz na szczęście, że we dworze
Zażądano w porę sługi;
Poszła zatem w dworzec strojny
I zastała tam świat drugi,
Świat tak wabny, szumny, hojny!
Lecz jéj milsze chatki ściany,
Kąt rodzinny ukochany...

Jak na obcéj ziemi kwiecie,
Hanka więdła w nowym świecie,
I o Janku wciąż dumała,
Oby wrócił, dajto Boże!...
Lecz czas, lecz czas wiele może;
Zwolna już się oswajała
W nowem życiu z troską w duszy,
Bo byt dobry łzę osuszy.

Z razu myśli bez ustanku
O jedynym o swym Janku,
Potém rzadziej, a powoli
Nikł z pamięci mimowoli
Cały obraz rzewny, tkliwy;
Chata, Jasio, konik siwy...
Tylko we śnie nocną dobą
Miała czasem ich przed sobą...

Zwolna, zwolna mniéj tęskniła,
Zwolna też się oswoiła
I z słodkiemi tam słówkami,
I z pięknemi tam oczkami,
Jakie panicz wlepiał młody
Niby w tęczę, w jéj jagody.

On tak czule do niéj prawił,
Tak jéj krasę wdzięcznie sławił!
Obiecywał złote góry,
Stwarzał dla niéj złote światy...

Ona niby motyl, który
Rad wybiera jasne kwiaty,
Polubiła życie nowe,
I tę słodką pańską mowę:

— Piękne dziewczę, złotko moje!
Nie patrz tak dumnie;
Jam twój cały, wszystko twoje,
Co widzisz u mnie.

— O! paniczu, czyż się godzi
Obrażać Boga?
Nie do pańskich szat się rodzi
Chłopka uboga.

— Nie wierz temu, dziewczę moje!
Żartujmy z świata;
Ja ci sprawię złote stroje,
Będziesz bogata.

— Lecz paniczu, mój *Jedyny*
Powrócić może,
Onby wyparł się dziewczyny
W drogim ubiorze.

— On nie wróci, moje złoto,
On poległ z chwałą;
Więc pocóż się troszczyć o to,
Co się raz stało?

— Ach! cóż teraz poczne biedna,
Na cóż mi życie?
Będę po nim sama jedna
Płakała skrycie...

— Nie płacz,... pierścień zdejm cynowy,
I czegóż szlochasz?
Dam ci złoty, piękny, nowy,
Czyż mnie nie kochasz?

— Lubię pana..., lecz mój panie!..
Nie bierz pierścienia;
Mówią: źle się z taką stanie,
Co pierścień zmienia.

— Nie wierz, co tam bają w świecie,
Nie bądźże płocha...
Nikt odemnie więcéj przecie
Ciebie nie kocha...

I pierścionek mu oddała,
Swój skarb jedyny,
A potem go opłakała
Całe godziny.

—

Stara chata pustką stała,
Hanka z razu ją zwiedzała,
Ale wkrótce zabaczyła
Miejsca, gdzie się urodziła;
Tylko sowy i puszczyki
Głosiły tam nocne krzyki.

A dzień za dniem płynie, płynie,
Jak nurt wody na głębinie.
Trzecie lato zajaśniało,
Pola złotem zbóż przybrało;
Piękna wioska, świat tak strojny!...
Tylko Janka niema z wojny...

On daleko — w szczerném polu
Trzyma głowę na kąkolu,
Prawa noga we strzemieniu;
Leży biedny w krwi strumieniu.
Konik jego wedle niego
Kopie nóżką, żałuje go:
Powstań! powstań! panie chrobry,
Coś mi dawał obrok dobry;
Teraz niema kłaczka słomy...
Podziobią nas kruki, wrony...
I przy panu padł nieżywy
Od żałości konik siwy.

—

IV.

Znowu grają, i bębnują,
Wojaczkowie maszerują.
Czemuż, czemuż piękna Hanka
Nie wygląda swego Janka?..
Wtém przed dworem wojak siwy
Staje, prawi różne dziwy;
Prawi smutnie o swym druchu
Jakimś Janku — świeć mu Boże!
Lecz powiedźcie, czy we dworze
Tym o Hance niema słuchu?
Wyszła Hanka drżąca, blada,
Wojak tak jéj opowiada:
— Jan, mój kamrat ulubiony,
Gdy go słuchy doleciały
O twéj zdradzie, jak szalony
Zaczął rzucać się na boje
I nadstawiać piersi swoje.
Snadno o śmierć w krwawym boju;
Toż ją znalazł, a konając,
Ścisnął biedny za dłoń moją,
I wyjąknął, coś mi dając:
— Gdy niewierną ujrzysz kiedy,
Zwróć tę wstęgę z jéj warkoczy
I obrączkę zwróć jéj wtedy,
Powiedz, żem tu zamknął oczy,
Że niepomnę jéj niewiary...
Tu łzę puścił wojak stary,
Zwrócił pierścień, wstęgę zwrócił,
I do pułków swych powrócił.
Poszedł... Hanka w miejscu stała,
To pobladła, to zsiniała...
Dawne czasy, złote chwile
Ozwały się w całéj sile...
Serce żalem się wezbrało
Na myśl, co się z Jankiem stało;
Wyrzut tłoczył pierś dziewczyny
Na wspomnienie ciężkiéj winy;
Rozpacz duszę w noc owiała,
Wreszcie z trudem zapłakała,
Lecz tak ciężko, w takie tony,
Jak nad grobem dzwonią dzwony...

* * *

Długo potém obłąkaną
W pustéj chacie widywano;
To pod gruszą siadywała,
To nad stawem przystawała,
Załamując ręce biedna,
A na ustach piosnka jedna:

— Z tamtéj strony jezioreczka
Jedzie Jasiczek, Jasiczek!
Malowane siodełeczko,
Siwy koniczek, koniczek!

O! mój Boże, to nie Janek...
Czyście widzieli, widzieli?
To trup pędzi, trup kochanek,
On i koń w bieli, oj! w bieli.

W ręku wstęga, włos rozwiany,
Z czoła krew płynie, oj! płynie;
Ach! jak grozi Jaś kochany,
Zmiennéj dziewczynie, dziewczynie!

—

Wdzięczni włościanie.

—

W jednym z powiatów dawnego Województwa Krakowskiego, jest piękna i duża wieś rządowa Dąbrówka. Przed czterdziestu przeszło laty drogę szeroką, równą, bez wybojów, środkiem wsi biegnącą, otaczały z obu stron pasma niewielkich wzgórzy, tworząc pewien rodzaj wąwozu—na wzgórzach tych strojnych w rozłożyste lipy, wyniosłe świerki i klony wznosiły się schludne wiejskie chaty o słomianych wprawdzie strzechach, lecz białych frontach, i takichże murowanych kominach, co widok ich nader wesołym czyniło. Przed każdą z nich na pochyłości wzgórza ku wiejskiéj ulicy, widniał starannie wygrodzony sad owocowy wraz z warzywnym ogródkiem, nęcąc oko przechodnia to różnobarwnym kwieciem, to rumianym owocem, to wreszcie miłą zielonością, a swym porządkiem dając świadectwo o gospodarności, zamożności i dobrych obyczajach mieszkańców.

Wpośrodku wioski na wzgórzu, zniżającém się stopniowo i zakończonem pięknym trawnikiem, stał duży drewniany dworzec, ozdobiony obszernym gankiem przed dom wybiegającym, zdającym się zapraszać w gościnne swe progi. Po starannem utrzymaniu tak samego dworu, jak i innych zabudowań gospodarskich, porządnéj uprawie gruntów i zamożności włościan, po drodze szerokiéj, dobrze utrzymanej, wysadzonéj pięknemi drzewami i okopanéj rowami, po mostkach i groblach we wzorowym porządku będących, wreszcie po kilku figurach z wizerunkiem Zbawiciela, poznać było łatwo mieszkanie rządnego i pobożnego obywatela. I tak było rzeczywiście; zdawna bowiem dworzec ten zamieszkiwali państwo Szeligowie dzierżawcy Dąbrówki, głośni z rządności i cnót swoich na całą okolicę.

Sam pan Szeliga w sile wieku mężczyzna, obok ujmującego oblicza i łagodnego obejścia posiadał serce szlachetne i wylane. Gospodarny i czynny wiedział o wszytkiem, nietylko, co się w jego domu działo, ale i w chacie każdego rolnika; bo jako troskliwy pan, wglądał we wszelkie potrzeby powierzonych pieczy jego włościan, ztąd znał ich wszystkich doskonale, a kochał jak własne dzieci. Dopomagał im w każdéj potrzebie, nietylko radą, ale czynem. Padło któremu bydlę, już pan Szeliga daje mu inne ze swéj obory, na częściową spłatę lub odrobek, aby zapobiedz upadkowi gospodarstwa a ztąd i całéj kmiecéj rodziny; nadszedł ciężki przednowek, już ciśnie się cała potrzebujących gromada do spichrza pana Szeligi, który zawsze dla nich, tak jak i serce pana stał otworem. Pani Szeligowa ze swéj strony niemniejszą była opatrznością wioski; zachorował kto we wsi, już ona była przy jego łożu, udzielając porady i lekarstwa, nieraz jedzenia z własnego stołu. To też Wszechmocny nagradzając tak zacne i szlachetne czyny obojga małżonków, hojną dłonią zlewał na nich swe błogosławieństwa; dostatek bez zbytku i zadowolenie wewnętrzne z wypełnionego obowiązku były ich udziałem. Kilkoro zdrowych dziatek rozwijających się jak pąki kwiatów pod okiem przywiązanych rodziców, napełniały serca prawdziwą pociechą; dziecinne zaś ich igraszki i zabawy przynosiły im niezmyśloną rozkosz, niosącą zapomnienie i osłodę trudów, od każdego zawodu nieodłączonych. I błogi spokój panował w całéj wiosce, bo nietylko dom państwa obfitował w dostatek i pociechy serca, lecz i każda niemi cieszyła się chata.

Kochali też włościanie całem sercem swego, jak go nazywali ojca i dobrodzieja, i swoją ukochaną panię a matkę; i długi czas wszystko się wiodło państwu Szeligom. Ale widać Bóg chciał doświadczyć stałości ich w przeciwnościach, aby gdy w nich wytrwać potrafią, napełnić serca ich kochające zdrojem czystéj pociechy i wdzięczności na resztę ich żywota. Dopuścił więc naprzód na Dąbrówkę parę lat klęski gradobicia i nieurodzaju, ale tylko na role folwarczne; włościanie żadnéj prawie nie ponieśli szkody, co właśnie ułatwiło panu Szelidze zniesienie téj klęski, bo nad swoją mniéj zawsze jak nad cudzą bolał stratą. Klęski te, które z pogodnem znieśli oboje czołem wyczerpały wszelkie ich zapasy pieniężne, owoc kilkonastoletniéj pracy, i cała nadzieja polepszenia bytu spoczywała w spodziewanych obfitych urodzajach; jakoż sprzęt przewyższył wszelkie oczekiwania. Ukończone żniwa wypełniły stodoły i brogi, wesołe dożynki corocznym zwyczajem odbyte, zwiastowały zakończenie znojnéj pracy. Pan Szeliga cieszył się niewymownie z tak obfitych zbiorów, żona radość tę jego szczerze podzielała— doznane straty poszły w niepamięć, gdy obliczając wspólnie spodziewane dochody, przekonali się, iż ze sprzedaży krestencyi, po zaspokojeniu już

dzierżawy i wszelkich potrzeb gospodarskich, odłoży się do wypróżnionéj szkatuły z kilka tysięcy złotych na edukacyą dzieci i na wiano dla córek.

Ale radość ich ta była krótkotrwałą. W tydzień bowiem zaledwie, kiedy po ciężkiéj pracy skwarnego dnia, wszyscy już w błogim śnie spoczywali, zbudził ich naraz silny grzmot, a po nim huk piorunu. Zerwali się wszyscy we dworze na nogi, a pani Szeligowa zawołała przerażona:

— Ach mój mężu! piorun gdzieś bardzo blisko uderzył; Boże broń jakiego nieszczęścia... Cóż to za burza, mówiła daléj, żegnając się pobożnie; jak żyję podobnéj nie pamiętam, jakaż to noc okropna!

Naraz blask uderzył w okna, i ogólną pomnożył trwogę. W jednéj chwili pan Szeliga był na podwórzu, i z boleścią w sercu widział cały szczyt środkowéj stodoły w płomieniach. Nie potrzebował wołać o ratunek, bo jednocześnie na huk piorunu i błysk płomienia wieś cała stanęła do obrony; poczciwi wieśniacy biegli na wyścigi jedni przed drugimi, to z kubłami, to z konewkami, to z drabinami, to z osękami. Ale wszystko na nic się nie zdało, bo ogień podniecany wiatrem ogarnął był już przyległe brogi z sianem i zbożem, czyniąc ratunek niepodobnym, a noc ciemna szeroką na okół zaświeciła łuną.

Pan Szeliga zmierzywszy doświadczonem okiem obszar płomienia, zawołał do przerażonych wieśniaków donośnym, ale drżącym od wzruszenia głosem:

—Dosyć już moje dzieci, dajcie pokój! —wasze wysilenia na nic się tu już nie przydadzą, wola Boża niech się spełni!... Wyłamcie oto lepiéj sztachety i parkan, ażeby się dworowi nie dostało; ale zaledwie słów tych domówił, gdy za silniejszym powiewem wiatru płomień przerzucił się na dwór i w jednéj chwili cały dach objął, z drugiéj zaś strony niszczący ten żywioł ogarnął przyległe stajnie i obory.

— Chryste Jezu!... Chryste Panie!... wykrzyknęła jednogłośnie zebrana gromada, padając na kolana, i z głębi duszy wołając: Boże! Boże Wszechmocny zmiłuj się nad nami!

Wtedy i pana Szeligę ogarnęło chwilowe zwątpienie, zachwiała się moc jego duszy, tak iż ukląkłszy wraz z drugimi, ze spuszczoną głową modlił się i bił się w piersi ze skruchą, nie myśląc o dalszym ratunku; lecz opamiętawszy się wkrótce: Daléj chłopcy, kto w Boga wierzy niech ratuje! —wy do domu, a wy do obór bydło wypędzać!... wołał na osłupiałych włościan, rozdzielając ich na dwie gromady, gdy w tymże czasie pani Szeligowa załamując ręce, w największéj krzyczała rozpaczy, odchodząc prawie od przytomności.

— Ludzie!... mężu!.. ratujcie aby dzieci!...

Któż jest w stanie opisać nieład, jaki miał miejsce? Trzeba samemu być świadkiem wiejskiego pożaru, gdzie to ani straży ogniowéj, ani stosownych przyrządów do gaszenia niema, aby mieć o nim pojęcie. Ten na dach się drapie, drugi i trzeci za nim, inni wynoszą ze środka domowe sprzęty, a że się nie mogą w ciasnéj sieni przetłoczyć, więc je wyrzucają oknami, inni znowu rozrywają dach osękami. Ten woła wody, tamten siekiery, ów, że krokiew rozpalona załamała się, i Franek wpadł w ogień; inny wreszcie pyta się, czy dzieci pańskie już wszystkie wyratowane? Słowem, każdy krząta się, wszyscy usilnie pracują, a z rąk im wszystko leci, i nie znać roboty, bo popłoch i przestrach dokoła przy braku wprawy i doświadczonego kierunku.

Już dnieć poczęło, a jeszcze wieśniacy pracowali, odkładając na kupy stosy niedopałków; ale z dworskich zabudowań Dąbrówki, tylko dwa sterczące kominy pozostały. Wszystko poszło z dymem, zboże, siano, inwentarze, wozy i powrozy, tak, że cały dobytek państwa Szeligów, składał się tylko z tego, co na sobie mieli, oraz trochy sprzętów, sukien i pościeli z pożaru wyratowanych—szczęściem nikt życia nie utracił, za co oboje państwo gorące zasyłali Bogu dziękczynienie.

Poczciwy sołtys Joachim Trzaska, prostemi ale serdecznemi słowy zaprosił państwa, aby u niego przyjęli tymczasowo mieszkanie, sam zaś wyniósł się do córki.

Pierwszy dzień po tym strasznym wypadku, zanim ochłonęli z pierwszego wrażenia, i zdać sobie mogli sprawę z następstw onego, mniéj był dla nich okropnym, ale przy chłodniejszéj następnie rozwadze, cios, jaki ich dotknął; stokroć groźniejszym się im wydał, a tém był istotniejszym, iż podówczas nie było jeszcze ubezpieczenia od ognia, i strata poniesiona stawała się niepowetowaną. Sam p. Szeliga tak był upadł na duchu, iż dnie całe siedział w chacie sołtysa, żadnych nie wydając rozporządzeń. W kilka dni po wypadku chodził on długo

zadumany po izbie, wreszcie tak przemówił do żony, siedzącéj z najmłodszém dzieckiem pod oknem:

— Niema rady moja droga! Pan Bóg karze nas widocznie za grzechy, od których nikt wolnym nie jest; niech się dzieje święta Jego wola. Obliczywszy wszystko, widzę, że niepodobieństwem jest utrzymać się nam przy dalszej dzierżawie Dąbrówki, bo nietylko że nic prawie z pożaru nie ocalało, a bez budowli, bez inwentarza niepodobna gospodarować, ale nadto zbliża się rata dzierżawna, wynosząca trzy tysiące złotych, a na nią zaledwie kilkanaście mamy talarów. Gotowy grosz, jaki był, wydał się na żniwa i inne potrzeby domowe, poprzednie zaś lata klęsk, jak o tem wiesz dobrze, wyczerpały dawniejsze zasoby, a nie mamy z rodzeństwa nikogo, coby nas mógł w złéj doli poratować. Ja nie lękam się pracy; znając zaś ciebie, wiem, że każdą dolę chętnie ze mną podzielisz. Otóż postanowiłem pójść gdzie za rządcę. Tymczasem z tego, co ocalało, sprzedać trzeba co nam niepotrzebne, i wynieść się na jakiś czas do miasteczka, nim się służba trafi, boć dłużéj poczciwemu Trzasce załogą być niepodobna... Jak więc tu przyjdzie, dodał po chwili, poproszę go, żeby się nam wystarał o kilka furmanek pod rzeczy.

— Hą! jak uważasz, odrzekła żona z poddaniem, ja się na wszystko zgadzam, boć to twój rozum lepszy od mego—żal mi tylko naszych dzieciaków, że im przyzwoitego wychowania dać nie będziemy w stanie; aleć Bóg najlepiej wie, co czyni. Na tem skończyła się rozmowa.

Od dnia pożaru sołtys co rano przychodził do swej chaty, z dobrą zawsze dla państwa wiadomością, to że włościanie sami jeżdżą do lasu, zwożą drzewo i gonty, że cieśle wzięli się już do roboty, aby dwór koniecznie przed zimą stanął; to znowu, że z pobliskich dworów panowie nasyłają zboże na zasiew, że gromada także zsypki robi i t. p., co o tyle zaspokajało pana Szeligę, że przynajmniéj o zniszczenia i niedosiewy nie będzie turbowany, i że jedyny fundusz, jaki im pozostawał w kaucyi dzierżawnéj, ocalić może będzie w stanie.

Owóż i tego poranku kiedy pp. Szeligowie zdecydowali się opuścić po 20to letnim pobycie Dąbrówkę, sołtys dążył ze świeżą wiadomością do chaty; już brał za klamkę, kiedy go posłyszane słowa pana Szeligi: *niema rady moja droga*, skłoniły pozostać przy drzwiach, i podsłuchać całéj wyż przytoczonéj rozmowy; poczem cichutko wyniósł się na wieś, i zaraz rozesłał do gospodarzy, aby się za godzinę cała gromada zebrała w chacie jego córki, co gdy nastąpiło, tak do zebranych przemówił:

— Słuchajcie no moi bracia! wiemy wszyscy, jak Bóg Wszechmocny srogo dotknął naszych dobrych państwa; bardzo więc to pięknie z waszéj strony, że ta z własnej ochoty jeździcie do lasu po drzewo na budowle, grunta uprawiacie, i zboże zsypujecie; aleć to jeszcze nie wszystko, bo tem ich z biedy nie wyratujemy. Panisko się biedzi i frasuje, że tu niezadługo trza będzie trzy tysiące Skarbowi czynszu dzierżawnego zapłacić; a że na to niema fundszu, myśli więc Dąbrówkę i nas opuścić, i na stare swoje lata iść gdzie w służbę. Gdybyśmy tego dopuścili, to Bógby ciężko skarał nas i nasze dzieci, boć jak który z nas był w potrzebie, to ręka i serce naszego pana były zawsze dla niego otworem, i nikogo nie wypuścił z proszących, aby go nie wsparł albo groszem, albo poradą. Niema więc co długo i gadać, tylko trzeba nam dzisiaj wzajem panu odsłużyć, kiedy go nieszczęście nawiedziło, i złożyć się na ów czynsz, bez czego naszego dobrego pana utracimy, a lepszego od niego nie dostaniemy, coby tak jak on był wyrozumiały na wszystko.

Tu spojrzeniem przebiegł po gromadzie, i rad z wrażenia, jakie przemową swoją na nich uczynił, dodał: Nie gadam tu, ile ma który dać, tylko zwyczajnie wolna wola każdemu.

Na to pierwszy Józef Osik zawołany na całą wieś zawadjaka, ale tęgi do pracy parobek, rzucił na stół srebrny pieniądz, wołając: ja daję talara!

— Ej głupiś! co ty swoim talarem zrobisz, przerwał radny Adam Grzęda, skrobiąc się po głowie.

— Głupiś, albo nie głupiś, odrzekł Osik zapalając się, ja daję talara, zobaczę też, co gospodarze dadzą?...

— Cicho, nie swarzcie się! krzyknął sołtys, tylko na ręce Adama składajcie, co możecie, aby na jutro rano było gotowe, a teraz sza! do domu i bywajcie zdrowi.

Gdy się to działo w chacie sołtysowéj córki, p. Szeliga niecierpliwił się bardzo, że Joachim nie przychodził. Żona uspokoiła go tem, iż widać sołtysa zaszło coś ważnego, lecz jutro

rano i tak będzie dość czasu na zamówienie furmanek.

Rano nadeszło, i stary Trzaska kłaniając się czapką do kolan, dzień dobry obojgu państwu oświadczył.

— A dobrze też, żeście przyszli mój sołtysie, odezwie się p. Szeliga, wczoraj nie byliście, a mam do was pilny interes.

— Słucham Wgo pana, rzecze przybyły.

—Oto mój kochany! pokalkulowawszy wszystko, widzę, że mi się trzeba z Dąbrówki wynosić, trudno płynąć przeciw wodzie; widać że taka była wola Boska, żebym gdzieindziej głowę moję położył. Żal mi szczerze opuszczać Dąbrówki, z którą się zrosłem niemal i was moi dobrzy przyjaciele, cośmy lat tyle z sobą przeżyli; żal i tych drzew, którem swoją sadził ręką, ale cóż czynić?— tu wzruszenie przerwało mowę panu Szelidze, uspokoiwszy się zaś nieco, dodał:

—Otóż chciałem prosić was, abyście mi się wystarali o kilka furmanek pod rzeczy, a nadto zwołali na jutro całą gromadę, abyśmy przed odjazdem mogli się z każdym z nich pożegnać.

— A to na co Wny panie! przerwie sółtys, klękając i błagalnie patrząc na p. Szeligę. Prędzejby Joachim Trzaska nie żył, aniżeliby miał tego dopuścić—ojcze nasz i dobrodzieju! ty znami zostaniesz do śmierci... Wiemy my dobrze o wszystkiem, i oto gromada ofiaruje wam na czynsz dzierżawny, a to na inne potrzeby, bełkotał z płaczem, składając dwa worki pieniędzy u nóg p. Szeligi, których jeśli nie przyjmiesz Wny panie, dodał widząc zmarszczenie czoła p. Szeligi, toś nas chyba nigdy nie kochał i nie kochasz; bo cobyśmy sobie za radę dali bez ciebie panie sieroty?

Zdziwienie i rozczulenie obojga państwa nie miało granic.

— No! wstań mój stary, rzecze p. Szeliga ze łzą w oku, byłbym niewdzięcznym, gdybym ofiary waszéj nie przyjął; przyjmuję więc pieniądze te od was, ale jako pożyczkę, którą wam mam nadzieję, zwrócę niezadługo. Bóg doświadczając mnie ciężko, zesłał mi zarazem pociechę, o jakiéj nie marzyłem, a która mi wynagradza sowicie poniesioną stratę, dając mi tak dotykalny dowód waszego do mnie przywiązania i poczciwości serc waszych.

— O tak Wny panie! wszyscy cię serdecznie kochamy, boć ty nasz ojciec i dobrodziej, boć nie ma, któremubyś Wny panie nie dopomógł; a dzisiaj będzie cała gromada szczęśliwą, żeś nawzajem dobrem jéj sercem nie pogardził, rzekł Trzaska, śmiejąc się ze łzami w oczach.

Łatwo pojąć radość, jaka z nową nadzieją pozostania w starem gnieździe wstąpiła do strapionych serc państwa Szeligów, którzy przez długie jeszcze lata gospodarzyli w Dąbrówce. Wypłacili się oni wkrótce z zaciągniętego pieniężnego długu od włościan, i przyszli niedługo do pierwotnéj zamożności, ale dług wdzięczności nietylko pozostał do śmierci w ich sercach, lecz go jeszcze po zgonie dzieciom swym przekazali.

Dwadzieścia kilka lat minęło już od śmierci państwa Szeligów, lecz pamięć o nich przechowuje się dotąd wiernie w sercach samych włościan Dąbrówki, którzy corocznie w dzień zaduszny modlą się na grobie dobrych państwa.

Dziś Dąbrówka po jéj rozkolonizowaniu zmieniła znacznie zewnętrzną swą postać, ale serca jéj mieszkańców pozostały też same. Oby cnoty tak pana, jak włościan błogosławionéj téj wioski w was czytelnicy! naśladowców znalazły.

I.

Król polski Bolesław Krzywousty, piękny nam przykład miłości ku rodzicom swoim zostawił. Przez pięć lat po śmierci ojca swego Władysława w żałobie chodził, wizerunek jego zawsze na piersiach nosił, a gdy na niego spojrzał, zwykle mawiał: O niech mnie Bóg zachowa, ażebym co niegodnego błogosławionéj pamięci ojca popełnił.

II.

Cecylia Renata, żona Władysława IV króla polskiego odprawiając wjazd uroczysty po raz pierwszy do Krakowa, gdy dostrzegła, iż służba królewska oddala lud zebrany z miejsca, którędy jechać miała, obruszona tem rzekła: Dajcie im pokój, niech każdy do nas wolno przystępuje; wszak mnie nie dla niektórych tylko osób, ale dla całego narodu za królowę obrano.

W drukarni J. Ungera. — Wolno drukować. Warszawa d. 9 (21) Lipca 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*